

Janusz Zbudniewek

"J. Szeptycki i jego kościoły w Ameryce = J. Szeptycki and his Churches in America", Andrzej K. Olszewski, Irena Grzesiuk, Warszawa 2000 : [recenzja]

Saeculum Christianum : pismo historyczno-społeczne 10/2, 337-342

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrzej K. Olszewski i Irena Grzesiuk Olszewska, *J. Szeptycki i jego kościoły w Ameryce. J. Szeptycki and his Churches in America*. Oficyna Wydawnicza Volumen. Warszawa 2000, ss. 166, il. 47.

Stare porzekadło głosiło, że jakość, gdy przechodzi w ilość, nie znaczy wcale, że jest dobra. Konstatacja powyższa odnosi się w dużej mierze do współczesnej architektury sakralnej. Oto bowiem ostatni boom w budowie kościołów na terenie Polski, datujący się od lat siedemdziesiątych minionego stulecia, przyniósł niespotykaną w historii ilość nowych świątyń w starych i nowych osiedlach miejskich i na wsiach. Wśród kilkudziesięciu udanych projektów, większość to niestety mizerna twórczość, charakteryzująca się bezkształtnymi formami, którym zabrakło ducha, albo zmysłu artystycznego. Niemala ich liczba to bezstylowe fortece, żelbetonowe bunkry, ogromne romboidalne hale, lub uduziwnione postmodernistyczne hangary. Wzniesiono je w pośpiechu, gdy decydent zza biurka urzędu wojewódzkiego, wcale nie rzadko dysponował gotowymi projektami i swoim wyłącznie architektem. Nie przyjęcie go, znaczyło nieraz tyle, co wstrzymanie pozwolenia na budowę, w wyniku czego – kościoły mamy takie, jakie wiązały się (podkreślam nierazko) z uzyskaniem pozwoleniem. Przykłady nie są mi obce, spróbuję o nich napisać kiedy indziej, na przykładzie jednego województwa. Dzisiaj wystarczy zauważyć, że efekty tych postaw zaciążyły na architekturze współczesnych kościołów polskich, gdzie trudno szukać winnych, ponieważ w seminariach i w katedrach architektury przyszłych inwestorów i architektów, nie uczono o specyfice budownictwa sakralnego, pozostawiając projektantom nazbyt dużą swobodę, obcą duchowi liturgii. Dowolność twórcza budowniczych, poza nielicznymi wyjątkami, okazała się niestety dużym nieporozumieniem, by nie powiedzieć – budzi również zrozumiałą niechęć wiernych do obecności w ich wnętrzach. Przy ich budowie, zakładano nie bez słuszności, że gipsowa, lub papierowa makieta projektowanej świątyni, stanie się faktycznie jaśniejszym obiektem w zatłoczonym „blokowisku” i swoistym oddechem na tle monotonnych mieszkaniowych pudełek. Czy tak faktycznie się stało? W pewnym sensie wiele nowych kościołów ożywiło niejedno osiedle, nawet, gdy stanęły na zaplanowanym wcześniej placu pod kino, dom kultury, sklep lub na skrawku wyburzonego magazynu. Dzięki tej zmianie, odmieniły one brzydką monotonię ogólnopolskich czteropiętrowek, które architekci potykali na pustych terenach, wśród świadomego, nieprawdopodobnego wręcz bałaganu. W tej sytuacji, pewnym novum na tle urbanistycznego horroru, powstała niejedna wyniosła, udana, lub bezstylowa, dzwonnica przykościelna, która wyznaczyła odniesienie do pewnego porządku i znaku orientacyjnego. W tym znaczeniu można mówić, że współczesna architektura sakralna zmieniła wizerunek osiedli miejskich i smętnej szar-

rzyzny wielu dzielnic, zaprojektowanych w całym powojennym okresie. Co więcej, stała się ona znaczącym punktem zainteresowania ich mieszkańców w zaistniałej rzeczywistości, nawet jeśli nowe kościoły zbudowane zostały na tym samym poziomie, co standardowe „gierkówki”, lub monumentalne kolosy nawiązujące do stalinowskiej epoki.

Oceny zaistniałej rzeczywistości historycy sztuki i architektki jeszcze nie wydali. Wydali ją natomiast inwestorzy, którzy nauczyci obserwacją i opiniami wiernych, powracając do starych i wypróbowanych wzorów architektury sakralnej. I tak na przekór swobodnym trendom modernistycznego budownictwa, niektórzy biskupi i duchowni w ogóle, próbując sięgać po wzorce z architektury romańskiej lub neogotyckiej, szukają ich w wielkich bazylikach Rzymu lub dziewiętnastowiecznych budowlach Austrii i Węgier (Licheń), to znów w cerkiewnej architekturze Bizancjum i Rusi (Warszawa Kabaty i Świątynia Opatrzności na polach Wilanowskich), czy kopiując je z barokowych kościołów, które budzą utrwalaony sentyment (Białystok, według planu zniszczonego kościoła z Berezowca).

Nie inaczej przedstawia się problem adaptacji wnętrz i otoczenia kościołów, modernizacji zabytkowych świątyń i stawiania obok nich budynków parafialnych, pomników, ogrodzeń itp. Niektóre nieudane bryły kościelne, niepodobne do budynków sakralnych, zyskują z czasem nowy smak artystyczny dzięki gruntownie przemyślanym projektom dekoracyjnym. Tak np. stało się w nowym podhalańskim kościele na Bachledówce k. Zakopanego, który przeraża swoim topornym bezstylem, ale dzięki znakomitej koncepcji dekoracyjnej inż. Bolesława Kulona, stał się on jednym z najpiękniejszych wnętrz kościelnych, namaszczonej góralską snycerką, która zdaje się przeżywać swój niezwykle renesans. Toteż w tym kontekście można powiedzieć, że pozytywną rolę odgrywają sprawdzeni architekci, a także rozumiejący sztukę kościelną administratorzy kościołów i dekoratorzy, ponadto wcale nierzadko urzędy konserwatorskie, które kontrolują różnorakie modernizacje w starej strukturze obiektu i w poprawianiu nowej. Problem jawi się jednak wówczas, gdy za ingerencją w strukturze zabytku staje znane nazwisko znaczącego architekta, któremu nie potrafi się sprzeciwić żaden konserwator. Toteż i w tej dziedzinie dają się zauważyć szokujące przykłady, które budzą oburzenie nie tylko wiernych. Pisząc o tym ostatnim problemie, mam na myśli pomnik prymasa Wyszyńskiego przed bramami Jasnej Góry, który w opinii wielu obserwatorów przypomina upadającą żabę, nie zaś pomnik w hołdzie człowiekowi, który odegrał niepospolitą rolę w dziejach kultury polskiej. Nic w nim z majestatu Wielkiego Interrexa, Polityka i Męża Stanu, nic z jego stosunku do klasztoru, w którym przemawiał.

Pozwoliłem sobie na krótką ocenę własnych obserwacji w kwestii najnowszych osiągnięć polskich architektów, którzy zagospodarowali polski krajobraz wieloma kościołami i pomnikami. Jest to pierwszy indywidualny i rodzimy wytwór w naszej historii, bez obcej ingerencji twórczej. Nie przeczę, że rodzimi twórcy pokazali swoje umiejętności, z czego mogą być dumni, niemniej dla dobra sztuki i kultury sakralnej, wedle osobistej obserwacji i znając wiele pięknych nowych świątyń poza granicami kraju, skorzystaliby z nich bardzo dużo.

Na opisany stan wpłynął jednak fakt, że pewien artystyczny zastój w dziedzinie budownictwa sakralnego w Polsce, szczególnie po zakończeniu wojny, zmusił wielu archi-

tektów do samotnych poszukiwań twórczych. Nic też dziwnego, że ich efektem stały się dzieła, które są odbiciem szkolnych schematów bez odniesienia do nowych wzorów poza granicami kraju. Co więcej, powszechnie wiadomo, że tylko nieliczni polscy architekci i tym bardziej inwestorzy, nie zapuszczali się poza granice kraju w poszukiwaniu nowych rozwiązań w budownictwie sakralnym. Niektórzy spośród tych pierwszych, jeśli chcieli projektować kościoły, wybierali pracę w obczyźnie, przedłużając chlubne tradycje kultury znad Wisły na obcych kontynentach.

Tak się stało, między innymi, w przypadku uzdolnionego architekta Jerzego Szeptyckiego (rocznik 1915), absolwenta Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Zafascynowany pięknymi planami swoich mistrzów w dziedzinie architektury, pisał najpierw reportaże z wystaw, a wśród nich szokujący z tytułu artykuł *Kościół wojujący. Katalicy budują świątynię w Otwocku*. (*Nowiny Codzienne* 1937, nr 224) i programowy artykuł o współczesnej architekturze kościelnej (tamże 1938, nr 111). Planów dyplomowych stworzenia zakładu karnego nie udało mu się zrealizować, ponieważ wybuch wojny światowej oddalił go od pracy naukowej. Przeżył koszmar wojny, z której wyszedł cało, mimo wydania na niego wyroku śmierci. Do kraju nie chciał powrócić. W 1948 r. przybył do Stanów Zjednoczonych, zarabiał na życie rzeźbieniem w ceramice figurek świętych. Trzy lata później podjął studia w Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles (1951-1952), gdzie dopracowywał postulowany wcześniej własny model architektoniczny, daleki od obcego naśladownictwa. Polegał on na wznoszeniu obiektów sakralnych, niewiele różniących się od budynków użyteczności publicznej, ale funkcjonalny w swej strukturze i względnie tani. Opinie jego w tej materii, budziły w początkowym okresie i budzą do dzisiaj różne zastrzeżenia, szczególnie w kwestii interpretacji ducha liturgii i nauki Kościoła. W świetle jego wypowiedzi i stworzonych projektów, odczytuję je jako swoisty upór ambitnego architekta, który na gruncie amerykańskim, przy wsparciu fachowych kooperantów wytworzył tyle samo uznania, co i koniecznych korekt, o których na łamach książki państwa Olszewskich, znaleźć można wiele.

Dzieła sakralnej architektury Jerzego Szeptyckiego zbudowane zostały na elementach, które niosła współczesna technologia, nade wszystko na stali, betonie i szkłe. Nie obce mu były inne prefabrykaty, które w amerykańskim budownictwie znalazły pełne uznanie, zaś w polskim – oceniane są nadal jako materiał obliczony na krótki i raczej przejściowy żywot.

W 1954 r. Jerzy Szeptycki wszedł w środowisku amerykańskim jako projektant pełen uznania dla indywidualności twórczej Le Corbusiera i Franka Loyda Wrighta. Z pracy państwa Olszewskich nie wynika wcale, by nasz architekt próbował ich naśladować, co więcej, nie można wysnuć przekonania, że usiłował przyjąć wzorce panujące w architekturze amerykańskiej, lub bardziej mu bliskie na terenie Kalifornii. Architekt prezentuje nade wszystko swój własny styl, w którym akcentuje czytelną bryłę geometryczną, funkcjonalność oraz halowe jednonawowe wnętrza. Ozdabia je witrażami, mozaikami i rzezbami, ale bez „detali historycznych”.

Pierwszy kościół zaprojektował Szeptycki w 1954 r. dla miejscowej Polonii w Los Angeles. Jest to stosunkowo niski halowy budynek nakryty płaskim dachem, a obok wy-

smukła dzwonnica. Wnętrze rozświetlają duże okna ozdobione witrażami o motywach narodowych. Ten model, w większym lub mniejszym stopniu, powtarza się we wszystkich wykonanych projektach, które zrealizowano w 26 miejscowościach. Pewną oryginalnością zaznaczają się jedynie kościoły św. Ireneusza w Cypress, św. Cyryla Jerozolimskiego w Encino, Najświętszej Maryi Panny w Fullerton i Los Angeles, św. Wawrzyńca w Redondo Beach i przede wszystkim monumentalny kościół pw. Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown w stanie Pensylwanii.

Zespołowi kościelnemu i klasztornemu w Dolyestown, państwo Olszewscy poświęcili szersze studium obejmujące równe 20 stron, podnosząc znaczenie samego miejsca, jako narodowego sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej i zarazem klasztoru paulinów. Poza krótką historią miejsca, z sentymentem odnieśli się do osoby założyciela sanktuarium, o. Michała Zembrzuskiego, współtwórcy całego zespołu. Przedstawili istotne problemy, które narosły wokół projektów budowy, wspominając ogólnie o wcześniejszych planach Władysława Biernackiego-Poraya, a także o wielu dyskusjach i zmianach, które legły u genezy projektu architekta Szeptyckiego. Bogata tematyka tych spraw łącznie z korespondencją, szkicami, rachunkami i dyskusjami zajmuje wiele teczek w tamtejszym archiwum, z których Autorzy skorzystali zaledwie w skromnej mierze, ale wystarczająco dużo, by zapoznać czytelnika z narosłymi problemami. Maszynopis omawianej pracy przesłał Szeptycki ojcu Zembrzuskemu, który ocenił go pochlebnie, dzieląc się z nim swoimi uwagami.

Zamierzenia o. Zembrzuskiego w kwestii rozbudowania sanktuarium były niezwykle ambitne. Proponował i wносił do projektów, oprócz kościoła i klasztoru, sale zebrań, muzeum, pawilony usługowe i socjalne, kryte parkingi, domy spokojnej starości opodal sanktuarium i wreszcie duży cmentarz dla Polaków zmarłych na ziemi Washingtona. Dzieło miało być pomnikiem Polonii amerykańskiej na Tysiąclecie Chrztu Polski, a termin poświęcenia przewidziano na 16 października 1966 r., co stało się faktem. Z projektu arch. Szeptyckiego wykonano jedynie świątynię i budynek klasztorny połączony podziemnym korytarzem. Zgodnie z projektem świątynia zbudowana została w dwóch poziomach. Do dolnego poziomu, stanowiącego kaplicę św. Anny, kawiarnie i sklep z pamiątkami prowadzą dwa boczne wejścia, zaś do górnego poziomu, czyli do wielkiej hali świątynnej z głównym ołtarzem prowadziły początkowo podwójne, dwustronne schody od szczytu. Konstrukcja całej świątyni wykonana została ze stali, betonu i licznych żebrowań podtrzymujących wielobarwne szklane witraże.

Budowa omawianego zespołu zaczęta w 1966 r., oficjalnie ukończona została uroczystym poświęceniem w październiku tegoż roku, faktycznie natomiast nie zakończona została do chwili obecnej. Tymczasem w 1974 r. w wyniku inflacji dolara i krachu ekonomicznego w USA, sanktuarium stanęło na skraju upadłości z powodu niewypłacalności odsetek w bankach, w których zaciągnięto pożyczkę. Ojca Zembrzuskiego oddalono od spraw administracyjnych i skierowano na inną placówkę. Od tego czasu nastąpiło kilka istotnych zmian w adaptacji kościoła i jego otoczenia dla celów liturgicznych i praktycznego funkcjonowania. Zaprzestano jednak konsultacji z arch. Szeptyckim w kwestiach adaptacyjnych, o co poczuł się dotknięty, tym więcej, że wniesione zmiany wyraźnie od-

biegały od jego założeń, a nawet wykonanych już prac. Warto przypomnieć, że już w pierwszym założeniu nie przyjęto jego projektu postawienia wieży na osi kościoła, lecz obok niego. Nie przyjęto również dekoracji kosmologicznej na ścianie frontowej dla podkreślenia roku Kopernikańskiego z okazji 500-lecia urodzin Astronoma (1973). Powodem oburzenia stały się jednak tzw. „wały” przecinające w połowie strukturę kościoła od strony frontowej i południowej. Faktem jest, że optycznie przesłoniły one całą sylwetę świątyni wysokim, i delikatnie mówiąc, mało efektywnym tarasem na linii drugiej kondygnacji, co dało jednak w efekcie jednolity trakt wokół niej. Gratulowali tego przedsięwzięcia wierni, którzy chcieli obchodzić procesję bez schodzenia z górnej kondygnacji do poziomu parteru, a po kilkunastu metrach chodnika, do ponownego wchodzenia w pobliżu absydy. Element funkcjonalny dla praktyk liturgicznych odegrał tutaj istotną rolę. Nie mógł się z nim pogodzić architekt Szeptycki, któremu już wcześniej zakwestionowano kilka innych usterek w konstrukcji dachowej i w pękających ścianach.

Minęło wiele lat od poświęcenia kościoła, który wzbogacił się w nowe marmurowe ołtarze, stacjami Drogi Krzyżowej i kilkoma kaplicami, które cieszą się u wielu uznaniem, choć budzą surową krytykę innych. Tak, czy inaczej, nazwiska projektodawcy i inwestora wpisały się bezsprzecznie na trwałe w historię amerykańskiej Częstochowy i nikt nie kwestionuje ich trafnych rozwiązań, które podjęli w pierwszych założeniach i zrealizowanych pracach. Niemniej, ostatnie budowle, nie będące już projektami architekta Szeptyckiego, m.in. dwa budynki służące administracji sanktuarium, a szczególnie biura kościoła i cmentarza, a także muzeum, księgarnia, sklep z dewocjonaliami, bar szybkiej obsługi, dom rekolekcyjny – to od dawna planowana baza pomocnicza, która spełnia ważną rolę w funkcjonowaniu amerykańskiego stylu życia kościelnego. Oburzał się na nie Jerzy Szeptycki z ambicjonalnych względów, czemu nie można się dziwić. Nie wszystkie zmiany akceptował też o. Zembrzusi, który powrócił do pracy w sanktuarium w 1993 r., ale mimo to cieszył się z ich powstawania, bowiem stanowią one ważny element działalności sanktuarium i klasztoru. O dalszych planach budowlanych mówi się tutaj nadal, m.in. o konieczności przebudowy niefunkcjonalnego i na poły więziennego budynku klasztornego, konieczności zmiany dachu kościelnego, który na terenie Pensylwanii w okresie zimowym nie zdaje egzaminu, korekty źle wykonanych „wałów” itp.

Książka państwa Olszewskich poświęcona projektom budowlanym architekta Jerzego Szeptyckiego w sposób jasny i jednoznaczny podnosi jego zasługi, talent twórczy, proste formy i funkcjonalność zbudowanych świątyń. Dotyka spraw emocjonalnych architekta w kwestii zmian i późniejszych modernizacji, podejmowanych z konieczności, lub ze względów praktycznych, a najczęściej finansowych. Opowiadał mi o nich o. Zembrzusi na trzy miesiące przed śmiercią. Ponadto miałem też okazję prześledzić osobiście olbrzymią dokumentację budowy zespołu klasztornego w archiwum sanktuarium w Doylestown, oraz przyrzeć się wszystkim zmianom na miejscu. Poza zachwytem dla wielkiego dzieła, którego dokonano, nie potrafię opowiedzieć się po którejkolwiek stronie, bowiem czas, funkcjonalność i możliwość dalszych zmian, które architekt Szeptycki zakładał, dyktowane będą względami praktycznymi, co w życiu kościelnym stawiane być musi bodaj na pierwszym miejscu.

Dobrze się stało, że piękny album państwa Olszewskich ukazał się w wersji polsko-angielskiej, a na okładce znalazła się sylweta kościoła w Doylestown. Książka jest zamierzonym hołdem polskiemu architektowi, który na terenie Stanów Zjednoczonych zyskał uznanie, a zespół architektoniczny sanktuarium w Doylestown przyniósł mu rozgłos, czego dowodem są jego reprodukcje w amerykańskich albumach poświęconych nowoczesnym kościołom. Urzeka w książce znakomita analiza amerykańskiej architektury w zestawieniu z europejską, a szczególnie hiszpańską, występującą na terenie Kalifornii.

Książka państwa Olszewskich ma jeszcze jedną niecodzienną zaletę, mianowicie wzbogaca ją literatura przedmiotu, cenne szczegóły biograficzne architekta Szeptyckiego, łącznie z bibliografią, katalogiem jego dzieł, fotosami wykonanych prac, reprodukcjami kilku projektów i krótkim apendyksem pióra o Gabrieli Lorenca o witrażach w amerykańskiej Częstochowie. Książka będzie niewątpliwie dobrym akcentem propagandowym na nadchodzący jubileusz pięćdziesięciolecia istnienia sanktuarium, do którego konwent paulinów przygotowuje się szeregiem imprez religijnych i kulturalnych, oczekując między innymi pomocy naukowej ze strony polskiej. Materiałów do wielu opracowań jest wiele, a pole popisu dla historyków wydaje się być ogromne.

Janusz Zbudniewek ZP

Ks. Józef Mandziuk: *Sakralna sztuka gotycka na Śląsku*. Wrocław 2003, ss. 113, il. 44.

Dzieje sztuki na Śląsku w dobie średniowiecza posiadają dziś bogatą literaturę, obejmującą zarówno syntetyczne omówienia zespołów zabytków architektury czy plastyki jak również monograficzne opracowania poszczególnych dzieł z bogatego skarbcza średniowiecznej sztuki śląskiej. Przy obfitości literatury fachowej wciąż odczuwa się niedosyt pozycji popularyzujących bogate dzieje śląskich zabytków tego okresu.

Ks. Józef Mandziuk, badacz historii Śląska, w I tomie opracowywanej przez siebie monografii milenijnej *Historia Kościoła katolickiego na Śląsku*, jeden z rozdziałów poświęcił prezentacji średniowiecznych dzieł sztuki sakralnej licznie zachowanych na terenie Diecezji Wrocławskiej. Materiał zgromadzony podczas redagowania tekstu wspomnianej części I tomu milenijnej monografii stał się podstawą osobnej publikacji Autora poświęconej śląskiej sakralnej sztuce gotyckiej. Wykorzystując publikacje polskich i niemieckich badaczy sztuki śląskiej Autor postawił sobie za cel „*ukazanie bogactwa sztuki gotyckiej, będącej na służbie Kościoła śląskiego w dobie szczytowego i schyłkowego średniowiecza*”. Starannie wydana nakładem Wydawnictwa „Silesia” książka zawiera przedmowę, cztery rozdziały, słowniczek terminów plastycznych, streszczenie w języku niemieckim, bogatą bibliografię oraz spis zamieszczonych ilustracji.

Po ogólnym wprowadzeniu w problematykę sztuki gotyckiej na terenie Śląska (ss. 7-10) w rozdziale I (ss. 11-34) w porządku chronologicznym zaprezentowane zostały